**J. Conrad, *Jadro ciemności* [fragm.]**

1. Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjęliśmy ją w milczeniu. Nikt nie zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić powoli:

— Mam na myśli barǳo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, Ciemność, Podróż tysiąc ǳiewięćset lat temu — wczoraj… Światło biło później z tej rzeki — wspominaliście o rycerzach? Tak, ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym blasku — oby trwał, póki stara ziemia toczyć się bęǳie! Lecz wczoraj była tu ciemność. Wystawcie¹⁰ sobie uczucia dowódcy pięknej — jak to się nazywało? — tryremy¹¹ na Morzu Śróǳiemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ: przebiega Galię w pośpiechu; powierzają mu jeden z tych statków, które legioniści — musieli to być cudowni luǳie i barǳo obrotni — budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zwartości concertiny¹² — a dowódca prowaǳi go w górę rzeki, wioząc zapasy czy rozkazy, czy co tam chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, ǳicy luǳie, znikoma ilość pożywienia odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Tamizie. Falerneńskiego wina¹³ ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy zagubiony w ǳiczy jak igła w kopcu siana — zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć czatująca w powietrzu, w woǳie, w gąszczu. Musieli tu ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca poprowaǳił barǳo dobrze tę wyprawę, niewiele o tym myśląc — chyba później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to luǳie dość mężni, by stawić czoła ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ducha naǳieja, że dostanie się z czasem do floty w Rawennie — jeśli miał dobrych przyjaciół w Rzymie i jeśli wytrzymał straszny klimat.

Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w toǳe — może cokolwiek za gorliwie uprawiający grę w kości — zjawia się tutaj w świcie jakiegoś prefekta¹⁴ albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca, by poprawić swój los. Ląduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi lądu czuje, że ǳicz, ostateczna ǳicz zamknęła się wkoło niego — tajemnicze życie ǳiczy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach ǳikich luǳi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć pośród niepojętego, które jest także czymś obrzydłym. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego ǳiałać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść.

Zamilkł.

— Zważcie — zaczął znów i sieǳąc ze skrzyżowanymi nogami podniósł rękę obróconą dłonią na zewnątrz, zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosu — zważcie, że żaden z nas nie czułby tego samego. Ratuje nas wiara w skuteczność naszej pracy — poświęcenie się dla niej. Ale tamci luǳie nie przedstawiali doprawdy nic naǳwyczajnego. Kolonistami nie byli; podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczym od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły; i nie ma się czym szczycić, jeśli się ją posiada, ponieważ siła ta jest po prostu przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali, co mogli, ze zwykłej chciwości. Była to po prostu kraǳież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a luǳie rzucali się w to na oślep — jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi, polegające przeważnie na tym, że się ją odbiera luǳiom o odmiennej cerze lub trochę barǳiej płaskich nosach, nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę — coś, co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary…

2. Niekiedy łódź z wybrzeża dawała mi chwilowy kontakt Natura z rzeczywistością. Wiosłowali w niej czarni luǳie. Można było dojrzeć z daleka połyskujące białka ich oczu. Krzyczeli, śpiewali; ciała ich oblewał pot, twarze przypominały groteskowe maski; ale mieli kości, muskuły, ǳiką żywotność, intensywną energię w ruchach, co było równie naturalne i prawǳiwe, jak fale rozbĳające się o brzeg. Ich obecność nie wymagała usprawiedliwienia. Widok tych luǳi stanowił wielką pociechę. Przez pewien czas czułem, że należę jeszcze do świata prostych faktów; ale to nie trwało długo. Zawsze coś zaszło i przepłoszyło to uczucie. Raz, pamiętam, natknęliśmy się na statek wojenny Walka zakotwiczony daleko od brzegu. Na ląǳie nie było nawet szopy, a jednak statek obrzucał gąszcz pociskami. Okazało się, że Francuzi prowaǳą wojnę w tamtych okolicach. Flaga statku zwisała jak łachman; lufy długich, sześciocalowych armat wystawały ze wszystkich stron niskiego kadłuba; statek wznosił się leniwie i opadał na tłustej, mulistej fali, chwiejąc cienkimi masztami. Wśród niezmierzonej pustki ziemi, nieba i wody tkwił ten niepojęty okręt i strzelał w głąb kontynentu. Bum! oǳywała się jedna z sześciocalowych armat; drobny płomyk wyskakiwał i znikał, niewielki kłąb białego dymu rozpływał się w powietrzu, drobny pocisk zaskrzeczał słabo — i nic nie następowało. Nic nastąpić nie mogło. Było w tym coś obłąkanego, widok ten przypominał ponurą krotochwilę²⁹ i nie rozproszył tego wrażenia jakiś człowiek z pokładu zapewniający mnie poważnie, że tam jest obóz krajowców — nazywał ich nieprzyjaciółmi! — ukryty gǳieś w głębi. Doręczyliśmy wojennemu statkowi listy (mówiono mi, że luǳie na tym samotnym okręcie umierają na febrę przeciętnie po trzech ǳiennie) i popłynęliśmy dalej. Odwie- ǳiliśmy jeszcze kilka innych miejscowości o nazwach jak z farsy, gǳie śmierć i handel wiodą wesoły taniec wśród cichej atmosfery nasyconej zapachem ziemi, niby w przegrzanych katakumbach³⁰; płynęliśmy wzdłuż bezkształtnego wybrzeża obramionego pianą niebezpiecznych nadbrzeżnych fal, jakby sama przyroda usiłowała odeprzeć intruzów; wjeżdżaliśmy w ujścia rzek — strumieni śmierci toczących się wśród życia — których brzegi rozpadały się w błoto, których wody, zgęszczone w szlam, ogarniały poskręcane mangrowce³¹, zdające się wić przed naszym wzrokiem w ostatecznej, bezsilnej rozpaczy.

3. Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych luǳi szło ścież- Niewola ką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łachmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie żebra tych luǳi; stawy ich członków³⁴ wyglądały jak węzły na linie. Każdy miał na szyi żelazną obrożę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się mięǳy nimi rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od Prawo strony tej samej skały i przypomniał mi nagle ów statek wojenny, któremu się przypatrywałem, gdy strzelał w głąb kontynentu. Był to ten sam roǳaj złowieszczego huku; ale tych luǳi żadną miarą nie można było nazwać nieprzyjaciółmi — nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone przez nich prawo, tak jak i pękające pociski, przybyły zza morza — niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały równocześnie, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną, śmiertelną obojętnością ǳikich, którzy są nieszczęśliwi. W ślad za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców — rezultat ǳiałania nowych sił — wlókł się zgnębiony, trzymając strzelbę przez środek. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścież- ce białego, podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność; nie mógł poznać od razu, kim jestem, ponieważ biali są na odległość barǳo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił twarz, pokazując białe zęby w szerokim, łotrowskim uśmiechu, przy czym ogarnął spojrzeniem powierzonych mu luǳi. Jakby poczuwał się do koleżeństwa ze mną w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja byłem również cząstką wielkiej przyczyny, wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie. […]

Umierali powoli — to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało w nich już nic ziemskiego — były to tylko czarne cienie choroby i głodu, leżące bezwładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszystkich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzuceni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą, osłabli, stali się niezdolni do pracy; pozwolono im wreszcie odpełznąć i wypoczywać. Te konające postacie były wolne jak powietrze — i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać połysk oczu pod drzewami. Potem, spojrzawszy w dół, zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielet leżał wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się z wolna i zapadłe oczy spojrzały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne; w głębi orbit zatliło się jakby ślepe, białe światełko i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego — był to prawie chłopiec — ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia, co bym mógł zrobić dla niego, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go — był to ostatni ruch, jaki dostrzegłem, ostatnie spojrzenie. Naokoło szyi miał zawiązane pasemko białej wełnianej przęǳy. Dlaczego? Skąd je wydostał? Czy to był jakiś znak szczególny — czy ozdoba — czy amulet — czy akt błagalny? Czy była w ogóle jakaś myśl z tym związana? Ta odrobina białej przęǳy zza mórz wyglądała ǳiwnie niepokojąco na czarnej szyi. […]

Musiałem pilnować steru i wymĳać pnie, i za wszelką cenę prowaǳić naprzód tandetny grat. W tym wszystkim było dość konkretnej rzeczywistości, aby ocalić i mędrszego ode mnie człowieka. A w wolnych chwilach musiałem doglądać ǳikusa, który sprawował obowiązki palacza. Był to okaz udoskonalony; miał palić pod pionowym kotłem. Tkwił w dole pode mną i — słowo daję — jego widok odǳiaływał równie budująco jak oglądanie psa w majtkach i kapeluszu z piórem, choǳącego na tylnych łapach. Parę miesięcy tresury dało radę temu istotnie zdolnemu chłopu. Zerkał na manometr i szkło wodowskazowe, siląc się najwidoczniej na odwagę, a przy tym miał nieborak spiłowane zęby, kęǳierzawy łeb golony w ǳiwne desenie i trzy ozdobne blizny na każdym policzku. Powinien był klaskać i tupać na brzegu, a zamiast tego pracował ciężko — niewolnik ǳiwacznych czarów, pełen coraz doskonalszej wieǳy. Był użyteczny, ponieważ go wyszkolono, a oto, na czym polegała jego wieǳa: gdyby woda znikła z tej przezroczystej rzeczy, zły duch wewnątrz kotła wpadłby w gniew z powodu wielkiego pragnienia i zemściłby się straszliwie. Toteż palacz pocił się i podsycał ogień, i śleǳił szkło z lękiem (ramię miał obwiązane zaimprowizowanym talizmanem z gałganków, w dolnej jego warǳe tkwił wygłaǳony krążek z kości słoniowej wielkości zegarka) — a tymczasem mĳaliśmy powoli zarośnięte brzegi, krótki zgiełk ucichał, nastawała znów cisza ciągnąca się przez nieskończone mile — i pełzliśmy naprzód w stronę Kurtza. Ale pnie tkwiły w rzece gęsto, woda była zdradliwa i płytka, kocioł zdawał się doprawdy kryć nadąsanego diabła i dlatego ani palacz, ani ja nie mieliśmy czasu zaglądać do naszych trwożnych myśli.

4. Ziemia nie wydawała się ziemska. Przywykliśmy patrzeć na spętany kształt pokona- Kondycja luǳka nego potwora, ale tam — tam się oglądało potworny stwór⁶⁵ na swoboǳie. Ziemia nie była ziemską, a luǳie byli… Nie, luǳie nie byli nieluǳcy. Wiǳicie, otóż to było najgorsze ze wszystkiego — podejrzenie, że oni nie są nieluǳcy. Przenikało to z wolna do świadomości. Wyli i skakali, i kręcili się, i wykrzywiali straszliwie; a najbarǳiej z wszystkiego przejmowała mnie właśnie myśl o ich człowieczeństwie — takim samym jak moje — myśl o mym odległym powinowactwie z tym ǳikim, namiętnym wrzaskiem. Brzydactwo. Tak, to było dość brzydkie; ale jeśli człowiek miał w sobie dosyć męstwa, musiał przyznać w duchu, że jest w nim jakiś najniklejszy ślad oǳewu na przerażającą szczerość tego zgiełku, jakieś mgliste podejrzenie, iż to ma pewien sens, który by można zrozumieć mimo tak wielkiego oddalenia od mroku pierwszych wieków. I dlaczego by nie? Dusza luǳka jest zdolna do wszystkiego — ponieważ zawiera w sobie wszystko, zarówno przeszłość, jak przyszłość. Cóż tam było właściwie? Radość, przestrach, smutek, ofiarność, męstwo czy wściekłość — któż to mógł powieǳieć? — ale była tam prawda — prawda bez maski czasu. Niech głupiec się gapi i wzdryga — człowiek świadomy życia rozumie i może patrzeć bez zmrużenia powiek. Ale musi być choćby na tyle człowiekiem, co ci z wybrzeża. Musi przeciwstawić ich prawǳie to, co w nim jest istotnie prawǳiwe — własną, wroǳoną siłę. Zasady tu nic nie pomogą. To nabytek, strój, ozdobne łachmany — łachmany, które z niego opadną przy pierwszym porządnym wstrząsie. Nie; tu trzeba sobie stworzyć własne swoje credo.

5. — Niechże mi pan powie — zapytałem — kto to jest ten Kurtz?

- Kierownik stacji w głębi kraju — odrzekł zwięźle, odwracając oczy. — Barǳo panu ǳiękuję — odpowieǳiałem ze śmiechem. — A pan jest fabrykantem cegły na stacji centralnej. Każdy to wie. Milczał przez chwilę. — To naǳwyczajny człowiek — rzekł w końcu. — On jest wysłańcem miłosierǳia i nauki, i postępu, i diabli wieǳą, czego tam jeszcze. Dla prowaǳenia sprawy, że się tak wyrażę, powierzonej nam przez Europę — zaczął nagle deklamować — potrzebujemy wyższej inteligencji, wszechogarniającego współczucia, zupełnego oddania się celowi. — Któż to mówi? — zapytałem. — Całe mnóstwo luǳi — odpowieǳiał. — Niektórzy z nich nawet to piszą; i właśnie dlatego on tu przybył, ta szczególnie uzdolniona jednostka — o czym powinien pan wieǳieć. — Dlaczego powinienem wieǳieć? — przerwałem, szczerze zǳiwiony. Nie zwrócił na to uwagi. — Tak, ǳisiaj jest kierownikiem najlepszej stacji, na przyszły rok bęǳie zastępcą dyrektora, jeszcze parę lat i… ale sąǳę, że pan wie, czym on bęǳie za jakie dwa lata. Pan należy do tej nowej paczki wyznającej cnotę. Ci sami luǳie, którzy go tu umyślnie przysłali, polecili także i pana. O, niech pan nie zaprzecza. Nie myli mnie świadectwo własnych oczu.

A to wyniosłe czoło Kurtza! Mówią, że włosy rosną i potem, ale ten — hm — okaz był wybitnie łysy. ǲicz poklepała go po głowie i oto głowa ta stała się podobna do kuli, do kuli z kości słoniowej; ǳicz popieściła go — i oto zwiądł; zagarnęła go, pokochała, otoczyła ramionami, przeniknęła mu do żył, pożarła ciało i przykuła jego duszę do swojej przez niepojęty rytuał jakiegoś szatańskiego wtajemniczenia. Stał się jej rozpieszczonym i zepsutym ulubieńcem. Kość słoniowa? Bogactwo Oczywiście! Całe kupy, całe sterty kości słoniowej. Stara szopa z mułu była nią przepełniona. Mogło się zdawać, że ani jeden kieł nie pozostał na ziemi czy pod ziemią w całym kraju. „Przeważnie kopalna” — zauważył pogardliwie dyrektor. Była równie kopalna, jak i ja jestem kopalny; tak nazywają kość słoniową wydobytą z ziemi. Okazuje się, że Murzyni niekiedy zakopują kły, ale najwidoczniej nie umieli zakopać tej partii tak głęboko, aby uchronić utalentowanego Kurtza przed jego przeznaczeniem. Zapełniliśmy kłami parowiec i jeszcze musieliśmy ułożyć cały ich stos na pokłaǳie. Toteż Kurtz mógł patrzeć na nie i cieszyć się nimi, póki żył jeszcze, gdyż doceniał ten dar losu aż do końca. Trzeba go było słyszeć, jak mówił: „moja kość słoniowa”. O tak, słyszałem go. „Moja narzeczona, moja kość słoniowa, moja stacja, moja rzeka, moje…”, wszystko należało do niego. Powstrzymywałem oddech, spoǳiewając się, że puszcza wybuchnie szalonym śmiechem, od którego gwiazdy zadrżą w posadach. Wszystko należało do niego — ale to drobnostka. Trzeba było przede wszystkim ustalić, do kogo on należał, ile ciemnych potęg uważało go za swoją własność. Skóra cierpła na człowieku, kiedy się o tym myślało. Nie można sobie było tego wystawić⁸⁰ — i nawet było lepiej nie zastanawiać się nad tym. Kurtz zajął wysokie miejsce wśród szatanów tego kraju — mówię to dosłownie. Nie możecie tego zrozumieć! I cóż ǳiwnego? Macie pod nogami solidny bruk, otaczają was życzliwi sąsieǳi, którzy gotowi są dodać wam ducha albo rzucić się na was, kroczycie sobie ostrożnie mięǳy rzeźnikiem a policjantem, przejęci zbawiennym strachem przed skandalem i szubienicą, i zakładem dla obłąkanych — więc jakżebyście mogli sobie wyobrazić owe szczególne krainy pradawnych wieków, dokąd nieskrępowane kroki mogą człowieka zaprowaǳić przez samotność — zupełną samotność, bez policjanta — przez milczenie — zupełne milczenie, w którym się nie rozlegnie żaden głos dobrotliwego sąsiada, szepcącego o opinii publicznej. Te wszystkie drobne rzeczy składają się na wielką różnicę. Kiedy ich zbraknie, musi się człowiek oprzeć na własnej, wroǳonej sile, na swojej własnej prawości. Można być oczywiście zbyt wielkim głupcem, aby zejść z prostej drogi, zbyt tępym, by nawet wieǳieć, że się jest napastowanym przez mroczne potęgi. Twierǳę, iż żaden głupiec nie sprzedał nigdy diabłu swej duszy; może głupiec jest na to za głupi, a może diabeł zbyt diabelski — nie umiem tego powieǳieć. Zdarzają się też czasem tak wściekle podniosłe istoty, że są najzupełniej głuche i ślepe na wszystko prócz niebiańskich wiǳeń i dźwięków. Dla nich ziemia jest tylko miejscem postoju — a czy taka natura jest dla człowieka stratą, czy zyskiem, nie podejmę się rozstrzygnąć. […] Dawny, realny Kurtz kształcił się częściowo w Anglii i — jak sam łaskawie oświadczył — sympatie jego leżały po właściwej stronie. Matka jego była na wpół Angielką, ojciec — na wpół Francuzem. Cała Europa złożyła się na Kurtza; i dowieǳiałem się z czasem, że Mięǳynarodowe Towarzystwo Tępienia ǲikich Obyczajów powierzyło mu opracowanie referatu jako wytycznej dla tegoż towarzystwa. A Kurtz ten referat napisał. Wiǳiałem go. Czytałem. Był wymowny, tętniący wymową, lecz nastrojony na zbyt wysoką nutę, jak mi się zdaje. Kurtz znalazł czas, by zapełnić gęstym pismem całych siedemnaście stron! Ale to było zapewne wtedy, nim jego — powieǳmy — nerwy się rozkleiły, i to sprawiło, że przewodniczył o północy pewnym tańcom, kończącym się obrzędami, o których mówić nie sposób i które — o ile mogłem wywnioskować z odrazą z tego, co słyszałem — odbywały się na jego cześć — rozumiecie? — na cześć Kurtza we własnej osobie. Ale raport był świetną próbką prozy. Tylko że pierwszy jego paragraf⁸¹ wydaje mi się teraz złowróżbny w świetle późniejszych informacji. Zaczynał się od dowoǳenia, że my, biali, na osiągniętym przez nas szczeblu rozwoju musimy z natury rzeczy wydawać się im (ǳikim) istotami nadnaturalnymi — „zbliżamy się do nich z potęgą, jak gdyby bóstwa” — i tak dalej, i tak dalej. „Przez prosty wysiłek woli możemy rozwinąć dodatnią ǳiałalność o potęǳe iście nieograniczonej”, itd. itd. Od tego punktu wznosił się coraz wyżej i uniósł mnie z sobą. Perora była wspaniała, choć, wiecie, trudna do zapamiętania. Wywołała we Przemoc mnie obraz jakiegoś egzotycznego Bezmiaru rząǳonego przez wzniosłą Dobrotliwość. Porwał mnie zapał. Był to skutek bezgranicznej potęgi wymowy — słów — płomiennych, szlachetnych słów. Żadne praktyczne wskazówki nie przerywały magicznego toku zdań, chyba że uznamy za rozwinięcie metody coś w roǳaju notatki przy końcu ostatniej strony, notatki nagryzmolonej niepewną ręką snadź⁸² znacznie później. Była barǳo prosta, i u końca tego wzruszającego wezwania do wszelkich altruistycznych uczuć gorzała, jaśniejąca i przeraźliwa jak błyskawica wśród pogodnego nieba: „Wytępić wszystkie te bestie!” .